# ROZMAITOŚCI.

Dnia 17. Grudnia  Nr. 51.  Roku 1842.

## WIĘZIEŃ.

*Dziwem się w pomoc pojawia dziewica:*
*Dwóch końców trzeba do spojenia wieńca.*
*Śród tęczy miru — leci gołębica!*

Olena, szesnastoletnia, piękna córka starego Fiedora, siedziała z robotą w ręku przy oknie zastawioném kilkoma wazonikami. Kilka razy spojrzała w dziedziniec więzienia, gdyż ojciec Oleny był dobrze płatnym dozorcą więźniów w fortecy B*** i tamże miał pomieszkanie. Wtém z cicha zapukano do drzwi: »Proszę wejść!« zawołała dziewczyna swym dźwięcznym głosem, a z nizkim ukłonem wszedł do izby młody człowiek w sukniach podróżnych.

»Nie wiém, czy dobrze trafiłem?« zapytał młodzieniec.

»Oh! przebóg miły, Ilijo!« krzyknęła dziewczyna, a żywy, piękny rumieniec powlókł jéj lica, »ty tutaj w fortecy B***, którą tylko nieszczęśliwi zwidzają?.....«

»Powiedziałem ci jeszcze przed dwoma laty, gdy z ojcem opuszczałaś nasze miasteczko, że bez ciebie Oleno tam długo nie wytrzymam.«

»Jakto? więc porzuciłeś nasze rodzinne miasto?«

»A może i na zawsze!« smutno odpowiedział Ilijo.

»A twojaż dobra matka?«

»Ach, rozłączenie się z nią, było dla mnie bardzo trudne, lecz ja będę pilnie pracował, a tak i nadal bez mojéj wspomogi nie zostanie.«

»Tego się po tobie spodziewałam, ale cóż ciebie do nas sprowadza?«

»Ty się jeszcze pytasz? — Ach właśnie to, iż nie zgadujesz, jest mojém nieszczęściem!«

»Twojém nieszczęściem?« powtórzyła jąkając się Olena spuściwszy wzrok ku ziemi.

»Wiém o tém Oleno«, smutno mówił daléj Ilijo — »iż tobie jestem obojętny; moją obecnością nie chcę ci się przykrym stawać. Chciałem ciebie tylko raz jeszcze widzieć, raz jedyny, a potém puścić się w świat za oczy.«

»W błędzie jesteś Ilijo, ja ciebie zawsze lubiłam.«

»Oh tak, lubiłaś, ale lubić można dwojako. Ja ciebie zawsze lubiłem z serca. Nieraz bywało, stara moja matka mówiła mi: staraj się przypodobać ojcu Oleny, bo Olena tobie sprzyja. Teraz dopiéro widzę, iż biédny stolarczyk nie jest ciebie godzien. Tyś zrodzona do czego lepszego, jak żebyś miała przy wiorach stolarskich warzyć jadło i na chłopców krzyczeć. Radować się nawet będę«, dodał głosem stłumionym, »gdy kiedy usłyszę, iż przy boku godnego ciebie męża, szczęśliwą jesteś.«

»Ilko, co tobie takiego? Takiś zmieniony.«

»Ot nic mi«, odpowiedział ociérając łzę z oka. Jakoś to wszystko będzie; ale gdzież twój ojciec? czy go w domu nié ma?«

»Właśnie teraz z pułkownikiem, gubernatorem fortecy, zwidza więźniów.«

»Chciałbym go jeszcze serdecznie powitać, za nim pójdę.....«

»Wszak nas tak prędko nie opuścisz«, przerwała mu Olena mowę. »O nie, nie, tego ci nie damy uczynić. Pozostaniesz u nas, będziesz nam opowiadał o naszém rodzinném mieście, o córkach naszego sąsiada, o starym Bazylim, o.... już nawet nie wiém, o czém — musisz nam wszystko powiedzieć; nie prawdaż Ilijo, że zostaniesz u nas?« — Właśnie chciał odpowiedzieć, gdy w sieni

dało się słyszéć stąpanie, a Olena zawołała: »Otóż i ojciec.«

Drzwi się otwarły, a stary Fiedor wszedł do izby; miał około lat sześćdziesiąt, ostre rysy twarzy, siwy włos na głowie i siwą brodę; był jednak jeszcze silnéj budowy ciała. W prawym ręku trzymał pęk kluczy.

»Ilijo!« zawołał zdziwiony, gdy ujrzał młodzieńca — »witam cię witam; co za niespodziane przybycie!«

I ucałowali się obadwaj szczérze.

»A prawda ojcze«, odezwała się Olena, »ja ci mówiłam, że ktoś do nas przybędzie, bo dzisiaj cały ranek myła się moja koteczka — a co, może nie zgadłam?«

»Jak długo jesteś na wędrówce?« zapytał starzec.

»Właśnie wprost z domu przybywam.«

»A dokąd puściłeś się w drogę?«

»Co to, to sam nie wiém.«

»Oh do kata! czy jeszcze masz tęsknicę na sercu?« śmiejąc się zagadał dozorca.

Młodzieńcowi twarz spłonęła ogniem, Olena spuściła w dół oczy.

»No no«, mówił daléj Fiedor żartobliwym głosem, »jeszcze prócz kotki nikt inny nie dobija się o przychylność Oleny. Zresztą dziewczyna jeszcze za młoda, aby już o zamężciu myśléć, a i tobie nie zawadzi, dwa trzy lata powędrować po świecie.«

»Prawda i to«, odrzekł Ilijo, »gdybym tylko mógł z sobą wziąć tę pewność, iż Olena o mnie pamiętać będzie.«

»Jeszcze o tém wątpisz? Olenka ciągle tylko o tobie prawi.«

»Ojcze!« zawołała niby w gniewie.

»Zrana, gdy wstaje z łóżka, mawia: »Co tam teraz nasz Ilijo porabia?«

»Ależ ojcze«, przerwała Olena.

»A gdy się kładzie do łóżka, powtarza: »Teraz zapewne Ilijo siedzi u starego Bazylego i o nas rozmawiają.«

Olena skoczyła od stolika, przy którym była znowu usiadła, rzuciła z rąk robotę, i zawstydzona, z płomieniącém licem wybiegła z izby.

»No, no, pozostań z nami, już twych sekretów zdradzać nie będę«, wołał za uciekającą starzec, lecz Olena się nie wróciła. Po chwili przemówił starzec do Ilija: »Mówmy teraz o czém rozumniejszém; w sam dobry czas przybywasz, znajdziesz u nas robotę.«

»Czy tutaj w fortecy?« zapytał młodzieniec, któremu się oczy zaiskrzyły z radości.

»Tutaj«, odpowiedział Fiedor. »Dom nowy stawiają teraz dla gubernatora fortecy. Jeźli zechcesz, zaprowadzę cię do majstra, który stolarską robotę wziął na siebie.«

»Pytasz ojcze, czy ja zechcę?« zawołał Ilijo.

»No, nie namyślaj się długo, pójdź ze mną do majstra, a potém napijemy się czaju.« — Wziął go pod rękę i obadwaj wyszli.

Stało się, jak stary Fiedor mówił. Ilijo miał dobre świadectwa, a z ochotą przyjął go majster do roboty.

Teraz przynajmniéj na jakiś czas miał zostać domownikiem starego Fiedora i jego córki, sam nie wiedział, czy się miał z tego cieszyć lub smucić.

Jeszcze w rodzinném mieście poznał był Olenę, któréj czarna brew i czarne oko, celowały między jéj rówienniczkami. Zwykle w wieczornych godzinach przesiadywał Ilijo w domu starego Fiedora.

Ani pomyślał, aby się mógł kiedy zmienić jego stosunek, który na jego obyczaje i na jego pilność w pracy, tak zbawienny wpływ wywiérał. Wtém Fiedor nagle otrzymuje posadę dozorcy więźniów w B*** o które miejsce jako stary żołniérz się starał. Dopiéro teraz uczuł biédny Ilijo, jaką namiętność żywił w sercu, jak bez Oleny nieznośne mu będzie życie.

A gdy ojciec i córka opuścili miasteczko, świat wydał mu się pustynią. Razem z Oleną znikła i wesołość jego. Czuł, iż w mieście tém długo bawić nie może, gdzie wszystko przypominało mu Olenę, gdzie był tak szczęśliwym. Wziął tłómoczek na plecy i ruszył w świat széroki.

»Tak idąc bez spoczynku, przybył nareszcie do B***, gdzie znalazł starego Fiedora i córkę, gdzie szczęśliwy przypadek zrobił go ich domownikiem. — Od tego czasu Ilijo spędzał wesołe dnie przy Olenie. W wieczór, gdy skończył robotę, przychodził bywało do starego dozorcy, a przy kominku śród poufnéj rozmowy, szybko mu mijały godziny. Gdy miał czas wolny, to razem z Oleną pracował w ogródku, robił

grządki, polewał kwiaty. Z każdym dniem stawał się weselszym, bo uważał, iż już nie jest obojętnym Olenie, i że ona lubi jego towarzystwo. Każdego wieczora opuszczając Olenę, wychodził z sercem przepełnionem radością, bo o szczęśliwéj marzył przyszłości.

Jednego razu, gdy Olena siedziała z robotą w ręku przy oknie, a Ilijo z rozkoszą wpatrywał się w jéj czarne oko, jakiś hałas na dziedzińcu przerwał ich rozmowę.

Olena wyjrzała z okna, a jéj oko zatrzymało się dłużéj na jakimś przedmiocie; to było powodem, iż i Ilijo po nad jéj głowę spojrzał także przez okno.

Na dziedziniec wjechała kibitka, z któréj wysiadło kilku żołniérzy i młody jakiś mężczyzna w grubéj odzieży. Był wzrostu smukłego, czoło miał wyniosłe i postawę dumną; a chociaż kajdany miał na ręku i nogach, jednakże zdawało się, że tym żołniérzom dowodził, którzy go pod strażą mieli.

»Piękny mężczyzna«, przemówił Ilijo, »szkoda tylko, że łotr.«

Olena nie słyszała co do niéj mówił, jéj dusza była teraz w oku, którém się ciągle wpatrywała w więźnia.

Ponuro, w sobie zamknięty, stał więzień na dziedzińcu; obojętném okiem toczył w około. Przypadkiem spojrzał w górę, gdzie z pomiędzy kwiatów wyglądała Olena; nie pomału się zdziwił, widząc w tym przybytku niedoli i śmierci, piękną twarz dziewczyny.

Szybko skoczyła Olena od okna i usiadła do roboty. Lecz spojrzenie więźnia uderzyło sztyletem w jéj serce i tłumiło jéj oddech.

Tętent kroków, który wkrótce potém powstał, był znakiem, iż straż razem z więźniem oddaliła się z dziedzińca.

Ilijo począł mówić o nieznajomym, ubolewał, iż człowiek tak przystojny, tak pięknéj postawy, popełnił zbrodnią, która go wykluczyła z towarzystwa ludzi. Robił domniewywania, jaki też mógł być występek więźnia; mówił széroko i długo, ale Olena siedziała zamyślona, nie słyszała ani słowa. Sama nie mogła sobie zdać sprawy, co się jéj stało. Była przekonaną, iż po raz piérwszy w życiu widziała więźnia, a przecież jéj się czasem wydało, iż go od dawna dobrze znała, iż będąc jeszcze dzieckiem, widywała go w rodzinném mieście. Nadaremnie usiłowała nie myśléć o nim. Obraz jego stał jéj zawsze przed oczyma.

Wcześniéj jak zwykle wstała tego wieczora od stołu, przy którym z ojcem i z Ilijem wieczerzała. Oddaliła się do sypialnéj izdebki.

Tu bywało znachodzi zawsze spoczynek, sen spadał prędko na jéj powieki. Ale teraz, daremnie usnąć chciała, ciągle stał przed nią ów wysmukły więzień z bladem licem, z okiem dumném, suchém i pogodném. A to lice zostało w jéj oku i zostało w jéj myśli. Dopiéro późno w noc zapadła Olena w sen niespokojny, trapiący. Kilka dni upłynęło przy zwykłych domowych zatrudnieniach, ani widziała więźnia, ani nic więcéj o nim nie słyszała, a jednak ani na chwilę zapomniéć go nie mogła.

Pomimo woli porównywała zawsze dumną, szlachetną postać nieznajomego z Ilijem i innymi mężczyznami, których tylko widziała; lecz porównanie to wypadło zawsze na korzyść więźnia, i to może było powodem, iż Olena coraz obojętniéj witała Ilija.

Jednego wieczora, właśnie co zmówiła wieczorną modlitwę, któréj jeszcze w dzieciństwie matka ją była nauczyła, a którą od owego czasu co wieczór po kilka razy powtarzała; wtém, z poblizkiego więzienia dolatuje ją odgłos cichego śpiewu.

Wyskoczyła z łóżka, zwolna otworzyła okno i zaczęła się przysłuchiwać. Księżyc jasne światło rozléwał po przeciw-ległym zczerniałym murze więzienia, za kratą na piérwszém piętrze ujrzała jakąś ruszającą się białawą postać.

I ozwał się znowu z po za téj kraty piękny, męzki głos, który tęskną nutą głuchéj nocy, następujące powierzał zwrotki:

Nigdyż serce stęsknione  
Mar minionych nie prześni!  
Wiecznież w jedne gdzieś stronę  
Zaczaruje me pieśni?...

Ku niéj tęsknię z wieczora —  
Z jutrznią tęsknię i płaczę,  
Bom pożegnał nie wczora  
I nie jutro — obaczę!...

*

I znów po chwili w dzikiéj nucie ozwała się pieśń szalona:

Piosenkę zanucę dziś sobie,
Lecz pieśń ma, jak wierzba płacząca,
Marząca o jutrzni na grobie,
W żałobie za szczęściem tęskniąca!

Pieśń moja do grobów przypadła
Jak wianek do trupa dziewczyny,
Jak pająk do róży usiadła,
Jak żmija w kolébkę dzieciny!...

Sam gdybym pieśń moję usłyszał,
Twarz moja przestrachem by zbladła,
Przestrachem bym płuca zadyszał,
A śmierć-by się w serce zakradła!...

A w sercu dziewczyny dziwne zagrały uczucia — i w jéj duszę wpadł przestrach. A gdy śpiéwak szalonym głosem »śmierć« zanucił, i Olena z jękiem bolesnym »śmierć« powtórzyła, i padła zemdlona na ziemię.

Po niejakim czasie, zerwała się znowu gwałtownie, i mówiła do siebie: »Ach, jakaż ja szalona! za kimżeto płaczę? i dla czego? Czyliż go znam? wiémże ja kto jest ów nieszczęśliwy? może on nie godzien łez moich?« Biédna! nie wiedziała sama co robić; jednéj tylko myśli była pewna, iż to nikt inny, jak tylko ów z bladem licem wysmukły więzień mógł tak rzewnie śpiéwać. I zasnęła unużona długą walką najsprzeczniejszych myśli i uczuć i skarg na samą siebie i uniewinniań; okropne sny ją dręczyły!

Nazajutrz z rana blada, z pomieszanym wzrokiem powitała ojca. »Cóżto ci Olenko! czyś nie chora?« zapytał Fiedor.

»Miałam noc niespokojną«, odpowiedziała.

»Zapewne znowu ten tkliwy więzień«, rzekł Fiedor. »A to biéda, wyśpiéwuje jak słowik w nocy, lecz wkrótce się wypierzy, przestanie śpiéwać na wieki.«

»Jakto?« zapytała Olena, któréj krew zastygła w żyłach.

»Jestto zbrodniarz stanu, zagorzalec. Jakem słyszał, nadszedł rozkaz, aby zamilkł, i témi dniami — wieczny mu odpoczynek.«

»On ma zginąć«, wyjąknęła Olena, a krew jéj ścięła się w żyłach, twarz pobladła nagle jak chusta, nogi się pod nią zachwiały i w niemocy o stół się oparła.

»Cóżto ci Olenko«, zapytał przestraszony starzec—»tyś chora, zbladłaś, przez Boga, co ci jest? ja poszlę po lékarza.«

Po chwili Olena zebrawszy wszystkie siły: »O nic mi nie jest, jam zdrowa, tylko chwilowe osłabienie.« To rzekłszy, jęła uspokajać ojca.

Gdy znowu wieczorem siedziała z Ilijem przy oknie, rozmowa im się nie kléiła, tak smutnie płynęły im godziny, jak jeszcze nigdy. Choć Ilijo mówił, opowiadał, Olena zdawała się nic nie słyszéć.

Siedziała w sobie zamyślona, obrywała, nie wiedząc o tém kwiatki na oknie i nieraz mu odpowiedziała nie do rzeczy, tak, że Ilijo nie wiedział, co począć; nakoniec odszedł ze ściśnionem sercem.

Olena wróciwszy do swojéj izdebki i drzwi zasunąwszy, siadła w oknie i zaczęła rzewnie płakać.

Cisza panowała w około, tylko głosy zmiéniającéj się straży i przechodzącego właśnie patrolu, dolatywały jéj ucha. Nie wiedziała Olena, co się z nią dzieje, oparła głowę na ręku, i z wytężonym wzrokiem wpatrywała się w ciemność nocy.

Zdawało się jéj, jak gdyby z po-za kraty, zkąd piérwéj śpiéw wychodził, posłyszała głos bardzo cichy. Słuchała jeszcze uważniéj, byłyto jakby przytłumione jęki.

Olenie tchu nie stało — Olenie ledwie piérś nie pękła! Bezprzytomnie prawie rzuciła się na pościel, i oddała się boleści.

Wkrótce opamiętała się znowu. »On ma umrzéć! On ma umrzéć! Biédny! Tak młodo i tak haniebnie umrzéć! Cóż on mógł zawinić? Nie, to nie może być zbrodzień. Tych rysów szlachetnych, téj śmiałéj postawy, tego nieustraszonego wzroku, nié ma łupiezca ani zabójca. Nie, to jest człowiek nieszczęśliwy, może uwiedziony, ale nie zbrodzień.«

»I ma umrzéć, umrzéć!...

»Może już jutro o téj godzinie wyprowadzą go na łąkę za bramę —! Może jutro o téj godzinie usłyszę strzał, który —! A może jeszcze dziś —!« i nie mogła dokończyć, tak jéj dusza była miotana niespokojnością.

»I umrzéć, umrzéć! — Tę spaniałą, tę piękną postać mają w czarnéj, zimnéj ziemi zagrzebać — i tak młodo, w samym kwiecie wieku i siły!....«

Tak narzékała i znowu się chciała przezwyciężyć, kładła się do snu, ale zawsze

ją na nowo przerażał ten głos, co się wydawał, jak jęk przytłumiony.

Okropną noc przebyła; nakoniec uspokoiła ją cokolwiek gorąca modlitwa. Ranek nadszedł i nakazał jéj ukrywać wewnętrzne cierpienie, którego gwałtowności sama sobie wytłumaczyć nie umiała.

Jeszcze miała nadzieję, że może go na śmierć nie skażą, może karę złagodzą — tém powątpiéwaniem, tą złudą, koiła boleść swoję, i dla tego tém okropniejszą dla niéj była wiadomość, któréj ojciec udzielił Ilji: że więzień za trzy dni ma być straconym. Ta wieść ją dobiła.

Odtąd ciągle widziała tylko więźnia przed sobą walczącego ze śmiercią. Ale gdy w nocy znowu siedząc w swojéj izdebce, gorzkie łzy wyléwała nad losem nieszczęśliwego młodzieńca, razem, nowy ją pomysł uderza, i zerwawszy się, wykrzyka: »Jako, ażaliż go w żaden już sposób ocalić nie można?«

»Nic nié ma pod słońcem niepodobnego; ale jak? i któż to uczyni? kto się odważy na odpowiedzialność, na wszystkie niebezpieczeństwa? Ilijo? — Ilijo spytałby mnie, dla czego ma narażać życie i wolność dla nieznajomego — i sama nie wiém, cobym mu na to odpowiedziała.«

»Mój ojciec? stary, ostry żołniérz — ten za nic w świecie nie przekroczyłby obowiązku! Któż więc? Nikt, tylko ja. Ja? i dla czego? Co mi przyjdzie z jego ucieczki? Ja nigdy go w życiu nie obaczę.«

Takie i podobne myśli snuły jéj się bez ładu, a przecież coraz jaśniéj poznawała, że ona jedna wybawić go może i wybawić go musi. Jakiś głos tajemny to jéj nakazywał. — Klucze od więzienia dobrze jéj znane, wisiały w nocy w głowach przy łóżku ojca. Gdy ojciec zaśnie, pomyśliła sobie, zdjąć je można po cichu.

Mały dziedziniec oddziela więzienie od jéj mieszkania, straży na nim nie było, nie będzie jéj trudno dostać się do niego, drzwi otworzyć, a wtedy — wtedy — kazamaty warowni przytykały do więzienia, i od tych można klucz dostać, zamknąć go w jednéj z tych kazamatów, do któréj nikt nie chodzi, i tam przechować aż do czasu, gdy się zdarzy sposobność wywieść go z warowni. — Takiémi myślami dręczona, oderwać się od nich nie mogła, aż nakoniec nieznane uczucie odwagi, rozpędziło w niéj wszelką obawę, i postanowiła swoje niebezpieczne przedsięwzięcie przywieść do skutku.

I znowu przebyła noc okropną, po któréj okropniejszy jeszcze dzień miał zaświtać!

Każda godzina zdawała jéj się być wiecznością, tętna jéj biły silnie, pierś wzdymała się gwałtownie.

Nieraz napadało ją drzenie na całém ciele i opuszczały siły, tak, że usiąść musiała, ale raz powziętego zamysłu nie chciała odstąpić.

Stary Fiedor dostrzegł niespokojności córki, którą chciała przed nim ukrywać, i troska osiadła na jego siwéj głowie.

Ilijo nieustannie zapytywał, co jéj jest, czy jéj czém nie obraził, i zaklinał nadaremnie, aby mu się zwierzyła; uśmiéchała się, ale to nie był uśmiéch, któryby zatrwożonego kochanka mógł uspokoić albo pocieszyć.

Dłużéj jak zwykle zabawił tego wieczora Ilijo z Oleną, która uważała szczérą jego przychylność i przy odejściu serdeczniéj ścisnęła mu rękę.

I znowu została sama, padła na kolana, oparła głowę na dłoniach, modliła się — modliła gorąco — łzami zaléwała lice.

Cisza głęboka w około, tylko słychać regularne uderzenia wahadła przy ściennym zegarze w izbie ojca.

Podniosła się Olena i otworzyła okno.

Noc była ciemna, rzadko gdzie gwiazdka wyjrzała z po-za grubych przewalających się obłoków; ledwie mury więzienia dojrzéć mogła.

Wiatr silny ją owiał i lekką odzież z niéj zerwał. Zimna dreszcz przebiegła członki, a przecie czuła, że twarz pała.

Nieznana dotąd bojaźń ją przejęła, czuła się tak osłabioną, niewładała prawie członkami a głowę miała gorącą.

A godziny wlekły się powoli i jeszcze było zawcześnie, aby przystąpić do dzieła.

Coraz trudniéj było jéj wytrzymać niepewność. Chodziła po pokoju, kładła się, wstawała, opiérała się na oknie a wszędzie ją ścigała niepewność, obawa, niecierpliwość, zwykłe towarzyszki przedsięwzięcia wielkiego, któremu nie starczą siły!

Wybiła nakoniec piérwsza godzina.

»Bogu dzięki«, zawołała Olena z głębi piersi, jak skazany na śmierć, który po przebytéj okropnéj nocy, słyszy przychodzących zbirów, aby go prowadzić na rusztowanie; zgasiła łampę i boso wemknęła się do izby ojca.

*(Dokończenie nastąpi.)*

## Do wyśnionéj kochanki.

O przybądź luba, snów mych ozdobo
Przybądź w objęcia kochanka!
Ach długo—długo wzdycham za Tobą,
Oczy wysełam co ranka.

Ach przybądź, przybądź moje kochanie,
Przybądź w otwarte ramiona,
Społem przebieżym' świata otchłanie,
Gdzie ma kraina wyśniona.

Choć się nad ziemią niebo zachmurzy
I świat bezduszny zblednieje,
My ramię w ramię wyjdziem z téj burzy,
Unosząc z sobą nadzieję!

Ach lata... lata wzdycham do nieba,
I ni się rozstać z tęsknicą;
Aby być w niebie, anioła trzeba,
Bądź mi aniołem dziéwico!

Ach przybądź, przybądź moje kochanie,
Na téj pielgrzymce śród cierni
Społem przebieżym świata otchłanie
Czy w szczęściu, czy w smutku—wierni!

Śród gwaru świata znajdziemy ciszę,
Jakieś samotne ustronie,
Tam Cię co wieczór piosnką skołyszę,
I wszelką troskę odgonię.

I gdy zabłyśnie zorza poranku,
Pozłoci ziemię i nieba,
Zbudzisz się luba przy twym kochanku,
I czyż nam więcéj potrzeba?

Ach przybądź, przybądź moje kochanie,
Przybądź w otwarte ramiona,
Społem przebieżym' świata otchłanie,
Gdzie ma kraina wyśniona!

*Pok.....*

*Lwów dnia 13. Listopada.*

## RUCH LITERACKI W WILNIE.

Na literackich przedsięwzięciach i piszących Wilnu nie zbywa. U Teofila Glücksberga następne dzieła są pod prasą i wyjdą w przeciągu roku 1842 na 1843. 1) *Pielgrzymka do Ziemi Świętéj*, tom 3ci z ryciną. W tym tomie już jest opisane przybycie autora do Jeruzalem. Czytelnik czuć umiejący i z nie oschłem sercem, ale ożywionem czystą wiarą, z przejęciem odczyta nawiedzenie Grobu Zbawiciela naszego, opisanie życia arcy-rzadkiego w obecnych czasach Józefa Chwaliboga, zgasłego niedawno po powrocie z Palestyny we Lwowie. Dzięki zacnemu kapłanowi, oby jego przykład wzniecił więcéj dzieł pielgrzymce jego podobnych. Tom czwarty tego ważnego dzieła będzie ozdobiony portretem autora. 2) *Mieszaniny obyczajowe Jarosza Bejły*, tom 2. 3) *Listopad*, romans ze średnich wieków, przez hrab. Rzewuskiego. 4) Nowa powieść J. J. Kraszewskiego—*Ulana*. Tegoż *Powiastki* i *Obrazki* we dwóch tomach. 5) Nowy tom *Literatury i Krytyki*, M. Grabowskiego. Tegoż korespondencyi literackiéj tom drugi. 6) *Ornitologija powszechna*, przez hr. Konstantego Tyzenhauza tom 1 in 8vo (dzieło to ma się składać ze trzech tomów). 7) Reszty rękopisma Jana Chryzostoma Paska z biblijoteki cesarskiej w Petersburgu. 8) Dzieła Kazimierza Brodzińskiego tom 1—5.

Księgarnia pod firmą Józefa Zawadzkiego, ma następne dzieła pod prasą: *Powieści Podolsko-Ukraińskie*, wzięte z rzeczywistych obrazów przez Sylwestra Wężyka Grozę, we dwóch częściach. *Puste Kobiety z Windsoru*, Szekspira, przekład John of Dycalp; in 12mo (już wydrukowane). Dramat Edwarda Marijana: *Johanna Turner i Ręka Boża*. *Umarli i żywi*, dramat oryginalny J. Korzeniowskiego, pełen akcyi i dziwnie zajmujący, jak wszystkie utwory, tego jednego z najcelniejszych pisarzów naszych. *Rubbona*, K. Bujnickiego, wyszły już z pod prasy dwa tomy. Jest to pismo zbiorowe, zawiérające po większej części w sobie pisma biało-ruskich i inflandzkich obywateli: Z prawdziwą przyjemnością odczytaliśmy w nich między innemi: *Dźwina*, wiérsz J. Chrapowickiego; *Pamiętniki ks. Jordana*, ogłoszone przez samego wydawcę, który także wyborną nam udzielił próbkę, przekładu swego trajedyi Szylera: *Don Karlos*, wdzięczni także jesteśmy za źródłowe pisma o Dynaburgu it. p. A. Platerowi. Szkoda, że o poezyjach w Rubonie zawartych, z równém wrażeniem, co o prozie odezwać się w ogólności nie możemy. Prócz wspomnionego wiersza *Dźwina* J. Chrapowickiego, przekładu z *Don Karlosa* wydawcy, jest jeszcze arcy-piękna powiastka biało-ruska *Maryna*, znanego już chlubnie w literaturze naszéj A. N. Grozy, niektóre poezyje braci Grzymałowskich, nie są też bez zalety, ale więcéj jest takich dotąd poezyi w Rubonie, któreby ledwie nadmiernémi nazwać można.

Ma wyjść wkrótce z pod prasy u Zawadzkiego osobno, oryginalna powieść *Gertruda* tegoż K. Bujnickiego. Znając już jego *Wędrówki po małych drogach* i tylko co wspomniane pomniejsze pisma w Rubonie, nie wątpimy, iż i jego *Gertruda* stanie obok celniejszych, tegoczesnych, literatury naszéj, w swoim rodzaju utworów.

Na dopełnienie Nowin z Wilna, przytaczamy rzeczy słyszane. Ignacy Chodźko wygotował trzy tomy *Obrazów Willi*, które mają być dalszym ciągiem jego *Obrazów litewskich*. Jan Chodźko autor powszechnie dzieł znajomych, *Pana Jana ze Swisłoczy* i *Pism rozmaitych* we 12 tomikach w drukarni pana Marcinowskiego wydanych, w zaciszu wiejskiem ma obecnie pisać powieść oryginalną *Brat i Siostra*. — A. E. Odyniec wkrótce drukować zamierza piękny swój przekład *Minstrela* poematu W. Skotta. Alfons Walicki, profesor Uniwersytetu w Charkowie, przełożył wierszem trajedyję Getego *Faust*, przezco piérwszy jeszcze tę

tak ważną wyświadczył literaturze polskiéj przysługę. Oczekujemy wszyscy z niecierpliwością wyjścia na jaw *Mindowsa* Kraszewskiego, którego rękopism już jest podobno w ręku Zawadzkiego.

Po zgaśnięciu nieodżałowanych nigdy dostatecznie *Wizerunków naukowych* ma wychodzić u Zawadzkiego pismo wydawane przez panów M. Grabowskiego i A. Przeździeckiego, samym tylko źródłom historycznym i literackim poświęcone. Któż nie odda należytéj zalety, tak chwalebnemu i tak trafnemu zamiarowi? Życzyćby należało, ażeby we wszystkich miejscach, gdzie się tylko polskie książki drukują, mogły wychodzić podobnież wydawane pisma. Byłoby to wielkiém dla pracujących w piśmienniczym zawodzie ułatwieniem, i odtąd nie musieliby z potem czoła wyszukiwać po różnych pismach rozprószonych materyjałów, a nie raz żałować, że te częstokroć wraz z pismami mniejszéj wartości, przy których były umieszczone, zginęły.

Otóż te i tym podobne wydają się lub wydawać się jeszcze mają w Wilnie dzieła. W ciągu roku dwie wyszły nie wielkiéj objętości książeczki, o których ledwie katalogi księgarskie wspomniały. Piérwszą jest *Kirgiz* poemat W. Z., drugą *Aksel*, przekład poematu szwedzkiego poety (Tegnera), przez J. Wiernikowskiego, znanego już u nas z przekładu celniejszych Od Pindara. Wdzięczni jesteśmy tłumaczowi za przeszczepienie jednego z celniejszych utworów, literatury narodu, dotąd nam prawie zupełnie nie znajoméj. — W *Kirgizie* P. W. Z. z rozkoszą powitaliśmy, nowozjawionego pisarza. Na ostatek donosimy, że tylko co wyszedł z pod prasy poemat Marjana pod tytułem: *Timofej Chmielnicki*, drukowany u Zawadzkiego. Resztę doniesień zostawmy na czas dalszy.

## ZE LWOWA.

*Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 50. i obejmuje: 1) O potrzobie głębszéj orki. (Ciąg dalszy). 2) Praktyczny rzut oka na niektóre gospodarstwa w obwodach zachodnich i południowych Galicyi (Ciąg dalszy). 3) O głównych zasadach chodowli owiec. (Ciąg dalszy). 4) O hołowicach. 5) Wiadomości czasowe.

Ner 24. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Wieczór w Tryjeście, przeprawa do Wenecyi, przez W. Chłędowskiego. 2) Nowości literackie. (Dokończenie).

Almanak szlachectwa. W Petersburgu ogłoszono, że na wzór gotajskiego kalendarza nadwornego, wyjdzie w Rossyi: *Jenealogiczny almanak familij szlacheckich.* Almanak ten będzie służyć za dokument historyczny, ułatwiać wywód jenealogiczny i przekazywać przyszłym pokoleniom stopnie urzędu, godności i zasługi przodków. W takowy wpisane będą familije szlacheckie w tych rozgałęzieniach i linijach pokrewieństwa, w jakich obecnie zostają. A że szlachta Królestwa polskiego podług ustaw krajowych doznaje tychże samych praw i przywilejów co i szlachta rossyjska, przeto redakcyja wzywa tak jedną jak i drugą, aby jeźli sobie życzy w tym almanaku być wpisaną, doniesienie tak o sobie jako też o swojéj familii w następującéj formie nadesłała: Imię, ojczyznę, tudzież nazwisko familijne, godność, urząd i znamiona zasługi; czas urodzenia (kto sobie tego życzy); czy w stanie małżeńskim i od którego czasu; imię żony i t. d. Ktoby chciał także, by jego familijny herb zamieszczono, takowy będzie rytowany.

Korzyści z wozów parowych dla rolnictwa. Gdy przed kilku laty ustanowiona komisyja dla rozpoznania stanu rolnictwa w Anglii zapytała pewnego dzierzawcę z hrabstwa Damfries, azali jeszcze daléj nad uprawą roli swojéj pracować zamyśla, widząc, że cena zboża tak mocno spadła, odpowiedział tenże, iż bynajmniéj nie ustanie w swéj pracy, a to dla tego, ponieważ wozy parowe żywność, która on produkuje, do Liwerpola dostawiają. W ogólności, dodał, od czasu zaprowadzenia wozów parowych tucza mieszkańcy w tém hrabstwie wiele bydła i mają taki podostatek nawozu, jakiego przedtém nie mieli; a przeto teraz z najlepszym skutkiem rolnictwu się oddawać można. Podobnież oświadczył się dzierzawca Robertson w Hinkardine w Szkocyi. »Teraz«, rzekł on, produkujemy nierównie więcéj siana i hodujemy więcéj owiec niż przedtém; karmiemy także wiele bydła, gdyż je z Glasgowa i Edynburga wozami parowemi do Londynu posyłać możemy; jestto wypadek, przez który w rolnictwie zaszła wielka odmiana; gdyż teraz zbiéramy z każdego morga nietylko więcéj zboża, ale nawet więcéj bydła tuczyć i na targ wyprowadzać możemy, podczas gdyśmy piérwéj ani jednej sztuki ze Szkocyi do Anglii nie dostawiali. Podobnież utrzymywał Walker z hrabstwa Aberdeen: »Przedtém dostawiano na targ same tylko chude bydło, teraz przeznaczone na rzeź woły wydają 700 do 970 funtów mięsa. Wozami parowemi można także posyłać do Londynu drób', jaja, masło i sér dla spienieżenia. Wszystko to przynosi wielki zysk dla rolnictwa.«

Parowa machina powietrzna. Londyński dziennik *Atlas* donosi z pewnością, że towarzystwo złożone z wielu biegłych chemików i mechanikow uzyskało od rządu przywiléj swobody na powietrzno-parowy powóz *(Aerial steam carriage)*, którym podróżni razem z pakunkiem w przeciągu czterech dni (robiąc na godzinę 75 do stu angielskich mil) z Londynu do Indyjów zajechać mogą. Że przedsiębierstwo to nie jest urojeniem, dowodem są znaczne wydatki, które pomienione towarzystwo ponosi, i wytrwałość, z jaką do dopięcia swego zamiaru dąży. Data wydania królewskiego przywileju jest z dnia 29. września, i sądzą, że maszyna sama do końca miesiąca stycznia 1843 całkiem ukończoną będzie.

Rzeźbiarz Molchardt, robi posąg Joachima Mnrata z polecenia miasta Bastide, gdzie się tenże urodził.

Przecież uczoność ma jakąś wartość w Anglii. To jest w tém znaczeniu, w którém tam mówią o człowieku, że on wart 10 lub 20,000 funtów szterlingów, to znaczy, że je istotnie posiada. Gdy bowiem sławny chemik Humphrey Davy rozpoczął świetny swój zawód, najznakomitsi mężowie Anglii poczytywali sobie za szczęście widziéć go w swoim domu. Lecz to nie kończyło się na samych obiadach i podwieczorkach, ale do tego należały nawet znaczne prezenta. I tak jeden z książąt tamtejszych przysłał mu raz drobnostkę, to jest kosztowny śrebrny serwis stołowy. Davy, gdy mu się powiodło rozłożyć alkalia, wkrótce potem udał się do Dublina. W tém mieście proszono go, aby miewał odczyty, Davy przychylił się do téj propozycyi, a publiczność tamtejsza rozebrała 200 biletów, każdy po dwie gwineje, i tak za jeden odczyt zebrał Davy 25,000 talarów.

Dawne czasy w Anglii. Gdy się Anglija w średnim wieku wyłącznie zajmowała rolnictwem, było tam tak mało miast, iż na 100 osób, tylko siedmiu

mieszczan liczono. Jeszcze z końcem XIV. wieku miała Anglija zaledwie 30 miast, na które najwięcej po 2000 mieszkańców przypadało. Londyn w roku 1377 nie miał większej ludności, jak teraz ma miasto Sidnéj, które dopiéro przed pięciudziesiąt laty założono. Głównym artykułem wywozowym angielskim, podobnie jak teraz w Nowéj-Południowéj Walii, była wełna; handel zagraniczny nie wiele znaczył i był po większéj części w ręku cudzoziemców. Ale w owych czasach dzisiejsze ubóstwo i żebractwo w Anglii były całkiem nieznane, każdy klasztor miał jałmużnika, opiekuna ubogich, i szczodrobliwość była wielką. I tak Stow opowiada, iż hrabia Derby utrzymywał 220 domowników, i rok rocznie dawał sześćdziesięciu starcom dwa razy na dzień jadło, a co piątku 2,700 ubogim jałmużnę. Biskup w Ely w roku 1532 utrzymywał 200 domowników i codziennie dawał 200 ubogim ciepłe jadło. Przy każdym stole majętnych osób, była pod ówczas tak zwana misa ubogich, na którą z wszystkich potraw składano porcyję, którą potém ubogiemu dawano. Gdyby ten zwyczaj teraz znowu zaprowadzono w Anglii, ilużto biedaków pożywiłoby się bardzo łatwo przy pańskich stołach!

Domy Chińczyków, te niskie, jedno-foremne siedziby z wygiętémi, jakby cieniutkiemi nitkami pozszywanemi dachy, są widocznym zabytkiem namiotów koczującego narodu. W całych Chinach nie znajdziesz aby jednego wielkiego i spaniałego prywatnego gmachu, każdy Chińczyk żyje z swoją familiją w pojedyńczych, na dziedzińcu lub w około dziedzińca wystawionych nizkich domkach, z których każdy ma tylko jednę tuż do drugich przyległą izbę z drzwiami, które na dziedziniec wychodzą. Drzwi te nie mają żadnéj komunikacyi z drugiemi, gdyż każda izba ma tylko jedne drzwi. Budowniczych nie potrzebują Chińczycy; każdy buduje tak, jak budował jego ojciec i pradziad, stylem namiotowym. Ale co dziesięć lub dwadzieścia lat, muszą Chińczykowie stawiać nowe pomieszkania, tak słabą i ladajaką jest ich robota i materyjał. Jednakże ten tani i nie trwały sposób budowania upowszechnił się dopiéro za teraźniejszéj dynastyi.

Dwór w Lahore. Pewien rossyjski podróżny opisuje swój pobyt na dworze teraźniejszego króla Lahory Szyr-Synga w sposób następujący: »Król ten jeździ z eskortą czyli raczéj z armiją dwudziesto-tysięczną i ze stem dział. Tak przynajmniéj wyjechał naprzeciw nam z całym swym dworem, niemal na pięciudziesiąt słoniach ze złotémi siodłami. Ja byłem mu przedstawiony w ogrodzie Szalimor, oświetlonym jarzącémi świecami, w którym liczne wodo-tryski ochładzały powietrze wonią pomarańczy przepełnione. W przeciągu tego czasu wyprawiano sztuczne ognie. Król znajdował się w namiocie ze złotego brokatu, otoczony swoim wojennym pocztem, który jaśniał klejnotami we wszystkich kolorach tęczy. Wszyscy dworzanie mieli na głowie turbany z gazy, z pięknémi, czarnémi pióropuszami. Łuki, strzały, sztylety, tarcze i karabiny z luntami, stanowiły ich uzbrojenie. Wszyscy siedzieli na złotych lub śrébrnych krzesłach, albo na kaszemirowych szalach, które jak ukwiecone dywany rozścielono. Za przybyciem naszém powstali wszyscy z swego miejsca, a król podał nam rękę. Miał on na ramieniu *górę światła*, to jest: największy dyjament w świecie. — Obok namiotu na wzgórzu stało dwadzieścia ulubionych wierzchowców królewskich, które kosztownémi tyftykami okryte, a siodła ich drogiémi klejnotami wysadzane były. Przed samym namiotem zaś, widać było trzydzieści tancerek, które w złotą i śrébrną gazę, tudzież w przejrzysty, różowy, błękitny, czerwony i biały muszlin ubrane, podobnież wiele drogich kamieni na sobie miały. Tancerki te były średniego wzrostu, miały błękitną cerę, okrągłe i pieściwe członki, i wszystkie miały przez nozdrze przewleczone duże, perłami i smaragdami wysadzane pierścienie, na których wiszące łańcuszki i sznurki z pereł do licznych i ciężkich kulców przymocowane były. Podobnież na nogach i rękach miały pierścienie, bransoletki, obręcze i łańcuszki, które podczas tańcu dzwoniły. Lecz najbardziéj zdziwiło mnie to, iż tancerki te miały czoło i smugę pod oczyma, złotą farbą nałożone. — W złotych naczyniach przyniesiono owoce i wino. Król dał każdemu z nas po śklance wina, zachwalając, że takowe jest bardzo wzmacniające, gdyż jak mówił, perły w niém rozpuszczono. Butelka tego wina kosztuje sto pięćdziesiąt rupiów jest ono tak mocne, żem go tylko mógł pokosztować. Przy pożegnaniu darował mi król wiérzchowca z bogatym rzędem i szatę honorową. Włożył mi także sznurek pereł na szyję i złote bransoletki na ramiona.« — Tak pisze ów podróżny.

Szewc amerykański. Dickens (Boz) opowiada w swojém dziele o Ameryce, iż w Nowym Jorku potrzebował butów, i dla tego kazał sobie przywołać szewca: »Siedziałem«, mówi Dickens, »na sofie, mając książkę w ręku, a przedemną stała śklanka z winem; aż oto otworzyły się drzwi, a jegomość jakiś, mający lat niemal trzydzieści, z wysoką sztywną krawatą na szyi, w rękawiczkach i w kapeluszu na głowie, wszedł do mego pokoju. Nie czekając na moje powitanie, poszedł wprost do źwierciadła, poprawił sobie włosy, zdjął rękawiczki, dobył powoli z kieszeni miary i upraszał mnie pieszczonym tonem, bym sobie strzemiączko od buta odjął. Stałem się posłusznym, ale z ciekawością poziérałem na kapelusz, który ten człowiek ciągle miał na głowie. Nakoniec zdjął go, nie wiém czy z grzeczności, czy dla tego, że mu bardzo gorąco było. Potém usiadł naprzeciw mnie na krześle, oparł się ręką o kolano, i schyliwszy się naprzód, przytem przygwizdując, podjął nareszcie zwolna mój but londyński, który tymczasem z-zułem. Zaczął go obracać i oglądać na wszystkie strony z taką wzgardą, iż tego wyrazić nie umiém; nareszcie zapytał, czy sobie taki jak ten but życzę. Odpowiedziałem, że w tym punkcie nie jestem bynajmniéj wybredny, i że mi może zrobić buty podług swego sposobu, byle tylko dogodne były. Poczém ten człowiek stanął znowu przed źwierciadłem i zaczął sobie poprawiać krawatę. Przez cały ten czas trzymałem wyciągniętą nogę, a operator obuwia, gdy się zadowolnił swoją krawatą, wyjął z kieszeni pulares, wziął na nogę miarę, i zapisał swoje uwagi. Gdy to ukończył, zaczął się długo przypatrywać memu butowi; potém podniósł go znowu z ziemi i zapytał: więc to jest but angielski z Londynu? Odpowiedziałem, że tak jest; człowiek ten zaczął znowu dumać nad butem, prawie jak on Hamlet Szekspira nad czaszką na cmentarzu, i wstrząsając głową, zdawał się mówić: Ubolewam i pogardzam ustawami krajowémi, które do robienia takich butów prowadzą. Poczém wstał z miejsca, schował pulares, stanął przed źwierciadłem, wdział rękawiczki, założył na głowę kapelusz i nie rzekłszy więcej ani słowa, wyszedł z powagą z pokoju.«

**Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.**
**Drukiem Piotra Pillera.**